

Zdarzyło się niemożliwe

23 lutego 2011

Przywódcy polityczni lubią powoływać się na „złożoność” rzeczy, aby dowodzić, że szaleństwem byłoby ich przeobrażanie. W pewnych jednak okolicznościach wszystko staje się bardzo proste. Np. wtedy, gdy po 11 września ówczesny prezydent USA George W. Bush żądał od wszystkich, aby wybrali między „nami a terrorystami”. W Tunezji należało wybrać między zaprzyjaźnionym dyktatorem a „reżimem w rodzaju talibów w północnej Afryce”. [1] Taka alternatywa umacnia obie strony: dyktator głosi, że jest jedynym wałem obronnym przed islamistami, a islamiści głoszą, że są jedynymi wrogami dyktatora.

Wystarczy jednak, aby ruch społeczny czy demokratyczny wyłonił aktorów, których wyrugowała zaryglowana raz na zawsze choreografia, a już balet się rozpada. Chwiejący się rząd węszy wówczas w proteście ludowym wszelkie możliwe ślady „wywrotowych knowań”. Jeśli istnieją, korzysta z nich, a jeśli nie istnieją, je zmyśla.

Tak było 13 stycznia tego roku, w przededniu ucieczki Zina Al-Abidina Ben Alego. W obecności Mezri Haddada, stałego przedstawiciela Tunezji w UNESCO, Ahmad Nadżib Szabbi, świecki przeciwnik dyktatury tunezyjskiej, napiętnował „model rozwoju, który za jedyną przewagę komparatywną na polu konkurencji międzynarodowej uważa niskie płace”, i „prowokacyjne obnoszenie się w wielkich miastach z nielegalnie nagromadzonymi bogactwami” oraz stwierdził, że „całe społeczeństwo dezawuuje ten reżim.” [2] Haddad stracił zimną krew: „Wkrótce przyjdą do twojego pałacu w La Marsa i cię ograbią, gdyż taka jest logika wszystkich społeczeństw, które nie boją się już żandarma. (...) W 1987 r. Ben Ali uratował Tunezję przed sfanatyzowanymi hordami i fundamentalistami. (...) Cokolwiek się stanie, musi utrzymać się przy władzy, ponieważ krajowi zagrażają fanatyczne hordy i neobolszewicy, którzy są

ich strategicznymi sojusznikami.”

W kilka godzin później Haddad zażądał jednak ustąpienia „zbawcy Tunezji”, a 16 stycznia Szabbi został ministrem rozwoju regionalnego... Narody arabskie nie robią rewolucji codziennie, ale robią je szybko. Niespełna miesiąc upłynął odkąd Muhammad Buazizi się podpalił, upłynął niespełna miesiąc – bezrobotni maturzyści przedstawili listę swoich postulatów, lud zdobył pałac prezydencki w Kartaginie i uwolnił więźniów z tamtejszej Bastylli, a masy wiejskie wkroczyły do Tunisu żądając zniesienia przywilejów.

Cykl historyczny, który przeżywa Tunezja, wydaje się znany, choć niekoniecznie trzeba odwoływać się do Rewolucji Francuskiej. Żywiołowy ruch się rozszerza, ogarnia najrozmaitsze warstwy społeczne, absolutyzm się chwieje. Wtedy trzeba bardzo szybko dokonać wyboru: zrezygnować z dalszej gry i zabrać swoją wygraną albo podwoić stawkę. W takiej chwili uaktywnia się jeden odłam społeczeństwa (burżuazja liberalna) i zabiega, aby rozlewająca się rzeka powróciła w koryto; inna (ludność wiejska, pracownicy umysłowi bez perspektyw, robotnicy bez pracy, zdeklasowani studenci) stawia na to, że fala protestu zmiecie nie tylko zmurszałą autokrację i rozkradający państwo klan. Nawiasem mówiąc, te warstwy ludowe, a szczególnie młodzież, uważają, że nie po to ryzykowały życie, aby teraz inni, ostrożniejsi, ale lepiej ustawieni, wyciągali ich rękami kasztany z ognia i utrwalali ten sam system społeczny, tyle że z obliczem oczyszczonym z policyjnych i mafijnych brodawek.

Ta ostatnia hipoteza, zgodnie z którą walka ze spersonalizowaną dyktaturą rodziny Ben Alego miałaby rozszerzyć się na walkę z panowaniem gospodarczym oligarchii, nie tylko nie zachwyca biur podróży, ale również rynków finansowych i Międzynarodowego Funduszu Walutowego. One wszystkie lubią tylko wolność dla turystów, stref wolnego handlu i ruchu kapitałów. Od 19 stycznia agencja ratingowa Moody's obniżyła zresztą rating Tunezji pod pretekstem

„niestabilności kraju spowodowanej niedawną niespodziewaną zmianą reżimu”.

Podobne nastroje panują w sferach rządzących w Algierze, Trypolisie, Pekinie i w zachodnich ministerstwach spraw zagranicznych. W chwili, gdy w większości muzułmańskie tłumy żądały wolności i równości, Francja naświetlała na swój sposób „debatę” o tym, czy demokracja i islam pasują do siebie, proponując sypiącemu się reżimowi Ben Alego „know-how naszych sił bezpieczeństwa”. Muzułmańskie, świeckie czy chrześcijańskie oligarchie u władzy okazują się solidarne, gdy tylko budzi się ich społeczeństwo. Obalony prezydent Tunezji uważał się za filar świeckości i praw kobiet w obliczu fundamentalistów islamskich, przewodził partii należącej do... Międzynarodówki Socjalistycznej, a schronienie znalazł w... Arabii Saudyjskiej.

Proszę sobie wyobrazić, co by się działo, gdyby w ostatnich miesiącach w Teheranie czy w Caracas doliczono się setki zwłok demonstrantów poległych od kul policji... 30 lat temu, w głośnym artykule, który odegrał historyczną rolę, pewna Amerykanka ze świata akademickiego, wówczas działaczka partii demokratycznej, Jeane Kirkpatrick, z góry odrzuciła wszelkie takie porównania. Jej zdaniem, prozachodnie reżimy „autorytarne” zawsze były lepsze (i łatwiej reformowalne) od reżimów „totalitarnych”, które – jak twierdziła – mogłyby je zastąpić.

Jej analiza, opublikowana w 1979 r., do tego stopnia zachwyciła republikańskiego kandydata na prezydenta, Ronalda Reagana, że gdy go wybrano, mianował ją stałą przedstawicielką Stanów Zjednoczonych w ONZ. Kirkpatrick przestudiowała dwa ciosy strategiczne zainkasowane owego roku przez Waszyngton: rewolucję irańską i rewolucję sandinowską w Nikaragui. W obu przypadkach – argumentowała – Stany Zjednoczone pod rządami prezydenta Jimmy’ego Cartera „czynnie współpracowały przy zamianie umiarkowanych autokratów przychylnie odnoszących się do interesów amerykańskich [szacha Iranu i Anastasio Somozy]

na nastawionych do nas mniej przyjaźnie autokratów wyznających ekstremistyczne poglądy”.

Oczywiście, oba obalone reżimy nie były bez zarzutu. „Kierowali nimi ludzie, których nie wybrano, (...) którzy czasami odwoływali się do stanu wyjątkowego, aby aresztować, więzić, skazywać na banicję i od czasu do czasu, jak twierdzono [sic], torturować swoich przeciwników”. Tak, ale – zaznaczała dla równowagi Kirkpatrick – „byli oni naprawdę przyjaźnie nastawieni do Stanów Zjednoczonych, posyłali swoje dzieci i inne osoby na nasze uniwersytety, głosowali razem z nami w ONZ, regularnie wspierali interesy i stanowiska amerykańskie – nawet wtedy, ponosili za to koszty osobiste i polityczne. Ambasady obu rządów brały aktywny udział w życiu towarzyskim w Waszyngtonie i były odwiedzane przez wpływowych Amerykanów odgrywających główne role w życiu dyplomatycznym, wojskowym i politycznym naszego państwa. Szach i Somoza byli mile widziani w Waszyngtonie i mieli licznych amerykańskich przyjaciół.”

Sęk w tym, że administracja Cartera stała się więźniem „współczesnej wersji idei postępu, która od czasów Oświecenia traumatyzuje zachodnie wyobraźnię”, zachęcała do zmiany reżimów w tych krajach. Popełniła fatalny błąd. „Waszyngton przecenił różnorodność polityczną opozycji, a szczególnie siłę elementów umiarkowanych i demokratów w ruchu opozycyjnym, nie docenił siły i nieprzejednania radykałów w tym ruchu i przecenił naturę i zakres wpływów amerykańskich zarówno w rządzie, jak i wśród opozycji.” [3] W rezultacie w jednym przypadku do władzy doszli ajatollahowie i ustanowili teokrację, a w drugim władzę przejęli sandiniści.

Jak widać, idea „dyktatury mniejszego zła”, bo prozachodniej i zdolnej pewnego dnia zmienić się na lepsze (pod warunkiem, że ma na to całą wieczność) oraz lęk, że za plecami demokratycznych demonstrantów kryją się fundamentaliści islamscy (dawniej komuniści) – to nie żadna nowość. Tylko że wygląda na to, iż w ostatnich tygodniach widmo Jeane

Kirkpatrick bardziej krążyło nad Paryżem niż nad Waszyngtonem. Rola islamistów w powstaniu tunezyjskim nie rzucała się w oczy, co sprzyjało tworzeniu się szerokiego frontu społecznego i politycznego przeciwko Ben Alemu i uspokoiło Amerykanów. WikiLeaks ujawnił, jakie uczucia Departament Stanu żywił wobec „quasi-mafii” i „sklerotycznego reżimu” klanu sprawującego władzę w Tunezji, a Biały Dom pozostawił go na łasce losu ufając, że władzę przejmą elementy liberalne i burżuazyjne.

Lecz oto powstanie tunezyjskie odbija się echem daleko poza granicami świata arabskiego. Wiele detonatorów eksplozji widać gołym okiem również w innych częściach świata: nieegalitarny wzrost, wysokie bezrobocie, protesty tłumione przez opasłe aparaty policyjne, wykształcona młodzież bez perspektyw, pasożytnicze burżuazje, które żyją we własnych krajach jak turyści. Tunezyjczycy nie poradzą sobie za jednym zamachem z tymi wszystkimi bolączkami, ale zrzucili z siebie jarzmo rządzenia losu. Wmawiano im, że „nie ma żadnej alternatywy”. Opowiedzieli na to, że „czasami zdarza się niemożliwe.” [4]

Autor: Serge Halimi

Tłumaczenie: Zbigniew M. Kowalewski

Źródło: [Le Monde diplomatique](#)

PRZYPISY

[1] Oświadczenie prezydenta Nicolasa Sarkozy'ego złożone 28 kwietnia 2008 r. podczas wizyty w Tunisie.

[2] „L'invité de Bourdin & Co”, RMC, 13 stycznia 2011 r.

[3] J. Kirkpatrick, „Dictatorships & Double Standards”, Commentary, listopad 1979 r.

[4] Patrz S. Žižek, „Permanentny stan wyjątkowy”, Le Monde diplomatique – edycja polska, listopad 2010 r.